PLACÓWKA

ILUSTRACJA POLSKA

DWUTYGODNIK

RYS. E. TROJ

Zeszyt XX. Cena zeszytu Mk. 20.— Listopad 1920 r.

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 15 LISTOPADA 1920 ROKU. ZESZYT XX.

PLACÓWKA
Ilustracja Polska
DWUTYGODNIK

Ignacy Grabowski.

LUD A CHŁOPOMANJA.

Co innego jest uważać lud za zdródło biologiczne siły narodowej i organizacji państwowej, a w wyniku takiego poglądu traktować go z całkowitą powagą, a zupełnie co innego bawić się w chłopomanję, to jest moment przypadkowego nastroju i wyobraźni brać za zjawę przedmiotową. Polska powinna prowadzić politykę ludową, jako akt codzienny, wytrwały i planowy, natomiast, przynajmniej w głowach swoich przedstawicieli twórczych, skończyć z chłopomańskiem amatorskiem przedstawieniem teatralnem, reżyserowanem przez niemców i żydów, aby powikłać, zaciemnić, odwlec, zniszczyć pracę rozwojową.

Przedewszystkiem źródło psychologiczne chłopomanji wymaga bliższego zbadania.

Wiara w potęgę ludu jest ożywcza i zbawcza. Autor niniejszego artykułu żył nią od dzieciństwa, a włos siwy nietylko jej nie pokarlił, ale wzmógł. Mówią, że wiara jest ślepa, nieprawda. Protestuję. Wiara ślepa nazywa się zabobon. Wiara prawdziwa, wiara ludzka jest widząca i czująca, to jest twórcza. Wiara jest walką światła z ciemnością z pewnością, niewzruszoną, że światło zwycięży, i ta pewność mogłaby być nazwana, jeżeli kto chce — ślepotą. Ale wiara nie jest kastracją zmysłów, dzieckiem wmówienia, zaprzeczeniem osobowości. Nie mieszajcie zabobonu z wiarą; poznanie słupów granicznych pomiędzy pierwszym a drugą jest zdobyczą człowieka cywilizowanego, to jest takiego, jakiemu polszczyzna daje przydomek „światły". Żaden inny język nie posiada tego wyrazu w naszem znaczeniu.

Taka święta wiara w lud nigdy nie prowadzi do chłopomanji. Źródło tej jest inne. Mówimy o źródłach psychicznych, nie handlowych, z wyrachowania, jakie miewają często przywódcy jakichkolwiek stronnictw politycznych. Tego rodzaju rachuby są zbyt proste i zrozumiałe, aby o nich mówić jedno słowo więcej po nad wzmiankę.

Główne źródło psychiczne chłopomanji jest to poczucie własnej niemocy. Słabość nieumiejętnie czepiającej się siły. Osoba z ludu lub prowadząca rzeczywisty żywot ludowy nigdy nie podlega chorobliwemu uwielbianiu swoich najlepszych, chociażby dla tego, że zna ich dobrze i uważałaby sama siebie za głupią, gdyby, naprzykład, z swojego kuma, którego siły zna, miała robić Wyrwidęba lub Waligórę. Chłopomanja jest przywilejem inteligencji osłabłej, będącej już na gościńcu degeneracji. Zwątleńcy do energicznego marszu niezdolni, śpiewają peany na cześć zdrowych nóg chłopskich. Jest to, jak rosjanie mówią „pridumka" dla impotensa. Lud odczuwa to wybornie i niechaj nie wyobrażają sobie ci „wielbiciele" chłopa, że spotkają w nim rycerza bez skazy i zmazy, Bayarda, albo tkliwego pielęgniarza. Przeciwnie: chłopomanja wzbudza w przedmiocie nieufność i lekceważenie. Skutki fatalne. Z nieufności rodzi się zatamowanie możliwości wspólnego działania twórczego. Z lekceważenia, z dobrowolnego poniżenia się tamtego, z aktu słabości, urasta nowa słabość, tym razem u chłopa, — manja wielkości.

Słabość inteligencji polskiej historycznie łatwo zrozumieć. Niewola polityczna uderza przedewszystkiem na warstwy przodujące kulturalnie. Zaborca, zawładnąwszy wychowaniem publicznem, wynaradawia przedewszystkiem sztab narodu, tych przewodników, którzy mogliby działać planowo, a bez których odruchy mas ludowych, jakkolwiek byłyby silne, mają cechę konwulsyjnych drgań ciała bez głowy. Najtęższe głowy polskie, kształcone tylko na uniwersytetach niemieckich, rosyjskich, austrjackich (duch, system rozstrzyga — nie język), bez fundamentu szkoły narodowej, musiały uledz-

Goethe słusznie powiada, że największą siłą człowieka i jego szczęściem, radością życia jest osobowość. Osobowość jest związana z twórczością jak matka z dzieckiem — nawet po odcięciu pępka. Jeżeli tak prawdziwie mówi się o duszy narodu, o czemś nieuchwytnem, a jednakże najbardziej rzeczywistem, bo nieśmiertelnem, to wyrazem, chociażby częściowym, niezupełnym tej duszy może być tylko silna, wyłoniona z narodu osobowość. Praca mózgu jest arcydelikatna; ręce zabrudzone przy pracy łatwo umyć, mózg zanierządzony często bywa nie do uprzątnięcia. Inteligencja polska, kształcona duszą obcych, zatraciła swoją naturalną władzę nad ludem, siłą narzutu prawdy.

Może ktoś powiedzieć, że i wszędy na Zachodzie, wśród narodów wolnych, odbył się taki sam proces zastoju inteligencji w stosunku do surowca ludowego, że cała wojna i jej charakter, poczem wielkie wstrząśnienia były czułe tego faktu jedynym wynikiem, że gdy Piotr poznał, kim jest Marcin... nie chce słuchać jego mądrości. Prawdopodobnie tak jest, ale może chodzi o Polskę. „Wystarcza mi patrzeć na niebo Florencji“—mawiał Michał Anioł—„w tej cząstce jest całość“.

Ale niedość zrozumieć dziejowo, stwierdzić, trzeba wyświetlić drogę, pchnąć drzwi, które często nie otwierają się tylko dla tego, że nikt ich pchnąć nie próbował. Jeden z majsterków wiercił w zamku, przypisując mu tajemniczą sztuczność, inny poszedł włazić od tyłu, jaką dziurą. A drzwi były otwarte, tylko zardzewiałe. Otóż inteligencja polska musi siebie odnaleźć w swoim ludzie, bezpośrednio. I ona pierwsza ma zdjąć z siebie pióra papuzie i pawie. Lećcie jak orły, a modlitwa ludu popłynie w przestrzenie świata.

Dni burzliwe, często szkaradne, maże się błoto. Ale w sercu rasy polskiej nadzieja zawsze, jak panna młoda. Idzie z uśmiechem do ołtarza, gotowa kochać i rodzić. Poco bełkotać wyrazy, które już zwiędły? Demokratyzm; niedemokratyzm! Wszystko to już się stało. Lud? Któż w Polsce dziś nie jest ludem? Żyd. Jemu śpiewajcie: „o cześć wam panowie magnaci”. To będzie odbiorca właściwy.

Inteligencja polska ma teraz odrzucić precz swoje dotychczasowe tchórzliwe metody działania. Przez te sposoby niegodne dotychczas poniżała swój lud, bałamuciła go, miasto unieść go wzwyż pocałunkiem braterskiego działania. Było w tem coś nie judaszowego, za wiele, ale coś niezmiernie niskiego. I jeżeli odurzony niezasłużonemi pochlebstwy kmieć nałożył buńczucznie na bakier czapkę z pawiemi piórami i naśladuje pana Zagłobę, to winniście temu wy sami, ekscellencje — inteligencjo!

Czegóż chcecie? Czy myślicie, że on, który wraz z wami zrodzon z jednej matki i z jednego ojca, ma inne skłonności i inne upodobania niż wy macie? Dziwicie się, że w sejmie rozpiera się jak w karczmie, a żydek usłużny szynkuje mu? Jakże można tak nie znać własnego brata i nie przewidzieć... Po co mu było opowiadać, że jest Waligórą, jeżeli dotychczas żadnej góry nie zwalił? Że może zwalić, zgadzam się, ale nie dajcie mu na kredyt, gdyż on sam kredytu nie lubi, wiedziony instynktem, że mógłby go ten kredyt za wiele procentów kosztować.

Powagę zdobywa się powagą. Kłamstwo jest lekkie i puszyste bywa malownicze; prawda—małowidna, za to ma ciężar, waży. Puch rozwiewa się w powietrze, ciężar przygniata do ziemi, a kto dość nierozważny aby mu stawić opór, tego zabija.

Na pierwszego wesołka cyrkowego wysuwa się pocieszny megaloman Papkin, dziecko złotego humoru polskiego. Cały cyrk śmieje się do rozpuku. Dlaczego się śmieje? Jakgdyby w zwierciadle zobaczył własną fizjonomję. Zauważcie, jak u fryzjera każdy orangutang przygląda się własnemu obliczu; im typowszy tem studjuje dłużej.

Cała Polska, w chwili obecnej, jest w transie megalomanji typu papkinowskiego, to jest nie melancholicznej, ponurej (acz bywają i tacy nieuleczalni), ale krotochwilnej, bawiącej się sama sobą. Możnaby brać w tej krotochwili żywy udział, gdyby nie groźne memento u granic: Niemcy i Rosjanie. I jedni i drudzy nie znają się na żartach.





Z galerji retrospektywnej. Dzieło Jacka Malczewskiego

Strażnik.

Tu na występie muru i skał
w gorsecie kirysa, co się jarzy,
postawiono mnie na straży,
bym wyprężon, strojny stał.

Przede mną —
aż po sięgające ziemi obłoki
z mgieł rannych, gwarliwie, wierzasto
obnaża się miasto.
Drapaczów nieba czworokątne bloki,
radjostacje, teatry, panteony,
muzea, banki, akademje.
Ulice rozstrzeliły się stąd we wsze strony.
Ta oto, biegnąca ze mnie,
skacze przez mostów łuki,
wyokrągla uśmiechem się w plac szeroki,
przecznicami, jak dwojgiem warkoczy,
zda się, miasto za sobą otoczy,
uczyniła zakręt szparki,
dalejże, dalej! w zieloną głąb alej,
w ciemne, w majone willami parki.
Tramwaje.-omaje pod drutów pajęczyną
długim ciągiem karne płyną
nakształt garbatych dromaderów,
doróżki - cienkonóżki - pensjonarki
uwijają się obok samochodów —
— otyłych bonviveur'ów.
Śród ogrodów,
na alabastrowy marmur Łady i Marzanny
tryskają fontanny srebrem rosy rannej.
Przede mną,
gdzie ongi rozkościerzał był Smok ród
wielkiej poezji i kunsztu, dziś ogród,
miasto kochane — Jasnogród.
Za mną — na cyplu granitnych bołd
w chmurach, że dojrzeć trudno,
wawelów wawel się biełi,
siedziba bogów lechickich — Cudno,
mnie strażnikowi, płaci hojny żołd
tem, że patrzenia mam pogodę
i oczy wiecznie patrzeniem tem młode.
Z Cudna na białych pegazach witezie
we wszystkie gwiezdne jeżdżą konstelacje.
Sarmacja nietylko ziemią płezie,
górną, skrzydlatą znają Sarmację
najdalszych słońc słoneczne knezie.
Tu, strażnik, stoję pod Cudna kolosem
wysoki złotą pralacką stawicą,
w orły zdobioną i lwy.
Nad jasnopłowym moim włosem,
co twarz mi muszcze,
kita szyszaka lśni
gwiazd kosmosem.
Płaszcz mój powiewa w przestrzeń patosem.
Ornament zbroi przeraża tłuszczę
wężownicami strasznic rarogów.
Na tarczy dzierżę herb moich bogów,
zginę
a bezbożnika do wysokich progów
nie wpuszczę.

RADOSŁAW KRAJEWSKI.

Północną porą.

Północną porą gwiazd okruchy
srebrzą bezkresny nieba szmat,
w Łazienkach błądzą zwiewne duchy,
szukając wspomnień dawnych lat;
listopadowy księżyc kładzie
na suche liście zimny blask —
sen o złamanej śni się szpadzie,
ułański mundur, szlify, kask...

Pytają duchów suche liście
nocą odzianą w srebrne mgły:
o smutne duchy, czy to wyście
ojczyźnie lenno nieśli krwi,
zali to wyście w parku nocą
pełzali nakształt trupich mar,
aby do walki iść z przemocą,
rwać pęta w które zakuł car?

Zali to wam się Polska śniła
wolna, po morza, hen, aż brzeg —
wasza to bruki krew barwiła,
i kto z was w pierwszym boju legł?
zali już czas zegary znaczą,
by zardzewiały chwycić miecz —
rycerskie naprzód nieść sztandary,
i wroga bić, i pędzić precz?...

Czy dziś, o duchy, wy do boju
prowadzić chcecie żywych huf —
czy ran niesyci, krwi i znoju
pójdziecie w boje sami znów?...
złocista powódź suchych liści
spadając cicho, pyta, drży:
kiedy wolności cud się ziści,
czy Polska wstanie z naszej krwi?

Lecz w parku cisza... W gwiazd okruchy
strop nieba strojny lśni się, skrzy,
twarz kryją w dłonie smutne duchy,
przez palce cieką duże łzy —
listopadowy księżyc kładzie
na blade cienie zimny blask;
sen o złamanej śni się szpadzie,
ułański mundur — szlify — kask...

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI.

Gustaw Olechowski.

1/4, 1/10, 1/1000.

Budowanie Państwa Polskiego na nowo, po kompletnem wykorzenieniu przez potrójnego szatana najostatniejszych państwowych pierwiastków, idzie niezmiernie trudno, tem trudniej, że jest bardzo mało tych Polaków, którzy uczciwie robotę robią. Zdawało się przed wojną, że gdy taka godzina nastanie kiedyś, w której skroplą się święte obłoki, unoszące w sobie testament Polski i popłynie rzeka wierna, polska, znów korytem swojem, że wówczas każdy złoży ciało i krew swoją w ofierze. Aliści statystycy nasi mylili się. Z dwudziestu kilku miljonów jednostek polskich setki tylko głów się okazało, tysiące nieliczne sumień, może dziesiątki tysięcy serc, a miljony brzuchów, z których część opasłych, otłuszczających im, i serca, i mózgi, a rzesze tak zapadniętych z głodu, że ani im czuć ani myśleć nie dają.

Nędza stała się powszechną. Przywykliśmy już tak do niej, że nie widzimy już czarnych twarzy, zestarzałych przedwcześnie, nie rażą nas brudy uniwersalne, nie dziwimy się przygnębieniu i smutkowi, uważamy za naturalne zdziczenie obyczajów, cofnięcie się o pół wieku w kulturze, ogólnie nieprodukcyjne utykanie z kąta w kąt, kręcenie bicza z piasku i ucinanie poły surduta na załatanie rękawa.

Przebrnęliśmy wśród strasznych doświadczeń przez kilka już etapów tworzenia się państwa, a mamy ich jeszcze więcej.

Pierwszym z nich to było zmaganie się z orjentacjami—pod niemiecką jeszcze okupacją. Wybrnęliśmy.

Drugi—to względne ustalenie władzy i rządu. Nie utonęliśmy.

Trzeci—wywalczenie niepodległości. Dobiegamy końca.

Piąty będzie zjednoczenie Ziem polskich: od tego tak dalecy jesteśmy, że umyślnie wybiegłem nim naprzód, by go pozostawić w spokoju, jako nieaktualny jeszcze, marzenie niemal, niezreferowane nawet jeszcze w departamencie dyplomatycznym.

Ale ten opuszczony—czwarty etap!

Właściwa budowa życia państwowego, ten, w który w chwili obecnej, po ukończeniu wojny weszliśmy, raczej—wejść powinniśmy.

Ten czwarty etap da się przedstawić w trzech ułamkach: 1/4, 1/10 i 1/1000.

Wiecie, obywatele, co to znaczy?

To jest obraz, w skrócie matematycznym, naszego życia gospodarczego.

Jeden do czterech — to stosunek naszego eksportu do importu. Wywozimy jeden, przywozimy cztery. Sprzedajemy za markę, kupujemy za cztery. To przyczyna dlaczego marka, miast być dwudziestą częścią funta szterlinga—jest jego częścią tysiączną.

Jeden do dziesięciu — to nasz budżet państwowy. Kraj daje podatku markę, a kosztuje dziesięć.

To przyczyna oszałamiającej drożyzny i niemocy skarbu, który będąc rozrzutnym musi być skąpym, szafując na wszystko, nie może ruszyć z martwego punktu, wydając miljardy, odmawiać musi państwowemu życiu na niezbędne potrzeby.

Jeden do tysiąca — to wartość duszy życia gospodarczego—marki w zastawieniu z posiadanem przez nas złotem.

Posiadamy mianowicie złota tysiąc razy mniej niż papierów.

Zapamiętajmy sobie te ułamki i to także, że z niemi niema niepodległości, a jest nędza i niewola gospodarcza, że przy tych ułamkach nie wyjdziemy nigdy ze strejków, bezrobocia, drożyzny, ogonków, lichwy, paskarstwa, braku mieszkań i węgla!

Ułamki te są problematami, które rozwiązane być muszą.

Mamy rząd, który o tem pewno myśli. Społeczeństwo jednak musi wykazać gotowość do ostatecznych ofiar, do ostatecznych wysiłków;—tak jak żołnierz nasz dał życie za całość Ojczyzny,—naród cały musi oddać pracę swoją i majątek.

Nie oddać a pożyczyć. Bo dobrobyt Państwa jest bogactwem każdego obywatela. A w kraju nędzy bogaczem może być tylko złodziej, defraudant, lichwiarz i paskarz. Bogaty kraj zwraca każdemu obywatelowi w nieskończenie rozlicznych formach dobrobyt i powodzenie.

Ułamki te muszą zniknąć, 1/4 wzrość musi na 5/4, to znaczy, że wywóz ma przewyższyć przywóz.

Ułamek 1/10 musi się stać jednostką — 10 do 10, dochody państwa muszą pokryć rozchody.

Wreszcie trzeci ułamek 1/1000 musi się zredukować choćby tylko do 1/100, by umożliwić zmianę monety z marki na złoto polskie, które muszą mieć realną wartość pieniądza „złotego". Ale by osiągnąć taki rezultat, winniśmy wezwać rząd do ostatecznych środków — niech zarekwiruje wszystko złoto w prywatnem posiadaniu obywateli. Niech wyszrubuje podatki do krańcowych granic. Niech wreszcie stworzy nowe formy współdzielczości wytwórczej, by ruszyć z miejsca przemysł, handel, budownictwo. Moment decydujący nadszedł. Trzeba się zdecydować na środki radykalne.

St. Lam.

GAZETA „NOWEGO CZŁOWIEKA".

W oczach naszych rodzi się typ nowego człowieka. Wyłania się on z odmętu walki na polach bitw i z ogólnego zamętu współczesnego życia. Idzie ku nam pewnie i szybko, chwyta w dłonie swoje ster i już prowadzi statek, płynący niespokojnie po wzburzonych jeszcze falach. Widzimy go codzień przy pracy i zabawie, cieszy on nas swą nową, nieznaną dotychczas siłą i razi niewyrobieniem. Obok błyskotliwych efektów, oburza nas pewna surowość jego form. Starzy zarzucają mu brak kultury, mówią, że jest dziki, w stosunku do tego, cośmy dotychczas znali. Inni pomawiają go o to, że stał się intruzem do pięknego gmachu, wzniesionego wysiłkiem dwudziestu stuleci.

Ale jakkolwiek rzecz się ma z tym nowym człowiekiem, jakimkolwiek on jest i jakimkolwiek mięćbyśmy go chcieli — to tylko jest pewne, że on już jest wśród nas i znaczna część życia, pod jego właśnie wpływem, uległa zasadniczym zmianom. Ogół, cała masa ludzi, których warunki bytowania w ostatnich latach wyniosły na wierzch, stanowią ów nowy typ, nieznany dotychczas — a decydującą odgrywający rolę w całym mechanizmie współczesnym. Znamiem jego jest pośpiech, pogoń za wszystkiem, w każdej dziedzinie. Nowy człowiek spieszy się w dojściu do fortuny i majątku, spieszy się w swojej karjerze, spieszy się w handlu, przemyśle, literaturze i sztuce. Miljonerzy i miljarderzy powstają z godziny na godzinę niemal, godności nie są już jak dawniej związane z wiekiem sędziwym, pisarzowi nie wystarcza już teraźniejszość, ale sięga w przyszłość i hołduje... futuryzmowi. Ale na wszystkiem wyciśnięte jest to piętno pośpiechu, brak wszystkim wysiłkom trwałych podstaw, rudimentów nauki i doświadczenia. Żywi, dzisiejsi ludzie nie szukają kontaktu z przeszłością, nie uczą się z ksiąg mądrości wieków ubiegłych. Nie mają na to czasu i główną ich troską jest nie studjum gruntowne, nie książki, nie wiedza, ale łączność bezpośrednia z życiem bieżącem.

I tu zaczyna się rola dziennika i dziennikarstwa. Gazeta bowiem znajduje się w ręku wszystkich: handlarz szuka w niej ceduły giełdowej, polityk wiadomości ze świata, statystyk dat i szczegółów, dotyczących ostatnich wydarzeń, urzędnik informacji z zakresu świata biurokratycznego, literat wzmianek o nowych książkach, artysta ocen wystaw, melomani recenzji z koncertów; — jeszcze innych zajmuje kronika policyjna, rubryka samobójstw, kradzieży i... morderstw. Wszyscy chwytają za dziennik, który dla „nowego człowieka" stał się jedyną lekturą, źródłem jego całej wiedzy o świecie, jedynym elementarzem kultury. To podnosi znaczenie prasy do godności wychowawcy społeczeństwa— a dziennikarza czyni przedewszystkiem odpowiedzialnym za to, jakim jest i będzie „homo novus". Dlatego to prasie i ludziom w niej pracującym poświęcić trzeba więcej uwagi, niźli to się działo dotychczas.

Czemże bowiem był dziennikarz starego typu?

Znamy go wszyscy i nigdy o nim zbyt wysokiego nie mieliśmy pojęcia. Zwykle człowiek biedny, wykolejony, który studjów nie mógł ukończyć dla różnych powodów, człowiek bez wyższych aspiracji i szerszych umysłowych horyzontów — zasiadał za stołem redakcyjnym, na którym dwa nieśmiertelne znajdowały się rekwizyty: klej i nożyczki. One też symbolizowały dziennik, wycinany i klejony — nie mający nic, prócz wstępnego artykułu i czasem feljetonu, czegoby się tknęło pióro piszącego. Wyższy zaś stopień dziennikarza, to publicysta, ów pan życia i śmierci wszystkich ludzi i rzeczy — miał za zadanie waśnić się z przeciwnikami

politycznymi, rzucać kalumnie na wrogów pisma, a sławić tych, co je wspierali... naturalnie finansowo. Stąd to publicystyka a paszkwilarstwo w wielu razach były identyczne, spór zaś o „rację” teoretyczną — zasadą publicysty, który niemal nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, co też czytelnika mogą obchodzić wszyskie kłótnie, wszczynane tylko po to, aby był temat do wstępnego artykułu. Mało kiedy rzeczy te pisane były z głębokiego przekonania autora, czego dowodem liczne (dobrze zresztą opłacane) przejścia z jednego obozu do drugiego oraz rażąca zmiana poglądów z dnia na dzień prawie. O ile więc dziennikarzom zarzucić można było brak jakiejkolwiek kultury i wykształcenia—o tyle znów publicystę znamionował brak stałych zasad, wyrobienia moralnego, etyki i... godności osobistej. To było powodem, iż zawód dziennikarza nie cieszył się w społeczeństwie większym szacunkiem.

W ostatnich kilku latach przed wojną zaszła pewna, drobna zmiana na lepsze. Nadmiar mianowicie inteligencji, która nie mogła zmieścić się w biurach i urzędach, której nie pociągał przemysł ani handel — zwróciła się do dziennikarstwa. Byli to przeważnie ludzie o pokroju naukowców, z głębszem filozoficznem wykształceniem, mogli więc stanowić element bardzo pożądany dla reformy dziennikarstwa, gdyby nie ich konstrukcja umysłowa i pewne cechy usposobienia, które nie kwalifikowały ich na dziennikarzy. Ostatni ten zawód bowiem wymaga specjalnych uzdolnień, — uzdolnień wrodzonych. Kto ich nie posiada — nigdy, po najdłuższej nawet praktyce dziennikarzem nie zostanie. Są zaś one niemal że antitezą tych zalet, jakie mają naukowcy. Któryż z nich posiada np. tak niezbędną dla dziennikarza szybkość orjentacji i decyzji, zdolność formułowania sądów stanowczych, łatwość pisania przy równoczesnem wniknięciu w temat, zwartość formy i barwność słowa? I któryż z naukowców nadaje się do tej pracy, tak mało mającej wspólnego z gabinetem i książkowością, a natomiast chwytającej w huku maszyny rotacyjnej życie na gorącym uczynku z najgłębszą jego filozofją, splotem niespodziewanych wypadków i najzawilszych problemów? Naukowcy wnieśli tedy do dziennikarstwa ociężałość, skłonność do teoretycznego rozważania kwestji, oraz manierę publicystycznych studjów, długich dysertarji i mentorskich rozpraw. Przez to wypaczył się charakter dziennikarstwa, które siłą faktów powinno było dążyć w kierunku jaknajwiększego zaktualizowania.

Dziś prasa staje nie tylko wobec nowych warunków pracy, ale i wobec nowego grona czytelników. I do jednych i do drugich musi się dostosować, jeśli chce odgrywać rolę informatora życia bieżącego, rolę dziś o tyle ważniejszą niż dawniej, iż i sfera odbiorców gazet rozszerzyła się znacznie, a także ich poziom intelektualny jest tego rodzaju, że kształcenie go jest niezbędne!

Dostosowanie pism do potrzeb „nowego człowieka“ odbywać się musi w dwu kierunkach: zrozumienia potrzeb nowoczesnych oraz zmiany techniki dzienników. Pierwsze osiągnąć można przez wciągnięcie do pracy dziennikarskiej sił o nowożytnym pokroju, któreby zreformowały sposób redagowania dziennika. A zatem przedewszystkiem zespół redakcyjny powinien składać się z ludzi, którzyby nie wycinali i kleili tego, co inne pisma przynoszą, ale by umieli każdą wiadomość oświetlić należycie, podać ją w formie nienagannej, uporządkowanej treściowo według pewnej myśli przewodniej. Powtarzanie telegramów przez kilkanaście dzienników w ich stereotypowej formie, jest już stanowczo anachronizmem. Depesze agencji oraz wiadomości własnych korespondentów są tylko materjałem, z którego można coś stworzyć. Materjał ten przerobiony,—powiedzmy: zredagowany — innej nabiera wartości czytelniczej, odbiorca też inaczej nań reaguje. Tak znane „adjustowanie“ materjału, winno tedy polegać nie na zmianach „operacyjnych“, ograniczających się do wykreślania pewnych zdań i zastępowania pewnych słów innemi, ale na przetworzeniu surowego tekstu tak, aby on zwartą i jednolitą stanowił całość. Dlatego to, ci którzy przygotowują materjał redakcyjny do druku, powinni być ludźmi piszącymi, umiejącymi wydawać sądy o sprawach i rzeczach, objaśniać wypadki, nawiązywać je z całym biegiem wydarzeń, zazębiających się o siebie. Wszystko to powinno być ujęte krótko, bez morałów i głębszych „aluzji“, wiadomych tylko wtajemniczonym. Również naczelny publicysta dziennika miałby przestrzegać tych zasad. Jego artykuł musiałby być zwierciadłem dnia, odbijającem wszystko dokładnie, z pominięciem rzeczy i zdarzeń zaczerpniętych z jednego podwórka. Między poszczególnymi zaś artykułami niezbędną powinna być harmo-

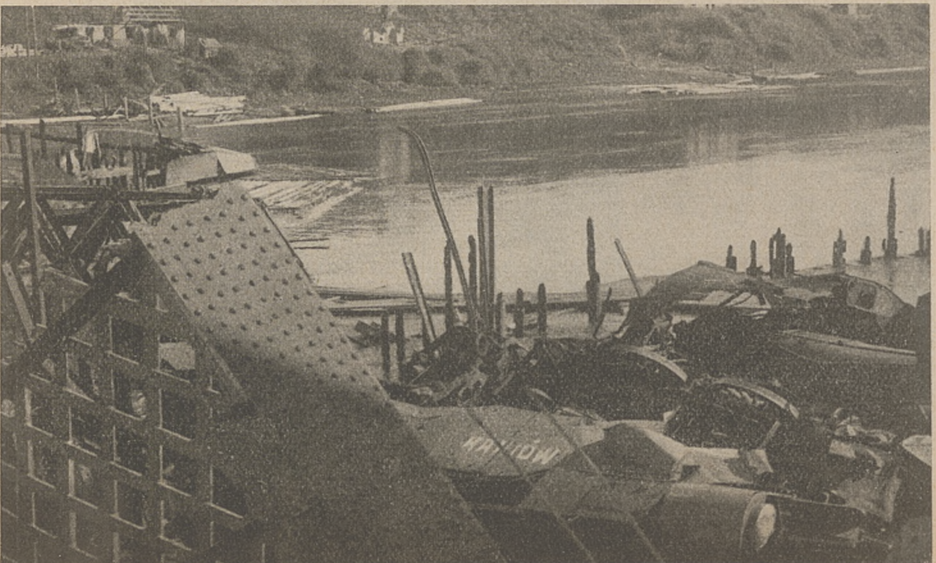


GENERAŁ JÓZEF HALLER

podług portretu Leopolda Gottlieba.



Rysunek St. Witkiewicza. Jesienna orka.



W zburzonem Grodnie. Widok od strony przedmieścia.



Pierwsze oddziały naszych wojsk wchodzą do zburzonego Grodna.



Zburzony most w Grodnie i pociąg pancerny „Kaniów" wpuszczony do Niemna.



Pozostałe wdowy nad ofiarami bestjalskich mordów bolszewickich.

(Warsz. Ag. Fot.).

Pomoc sanitarna Belgji—Polsce. Pociąg sanitarny belgijski; przed pociągiem zebrany personel pociągu z zarządzającym D-rem Rigą na czele. *(Warsz. Ag. Fot.).*





Po rozejmie panuje już nastrój bardziej wypoczynkowo-świąteczny.

nja, tak aby cały dziennik był wyrazem zrównoważonej opinji. Nad tem czuwać musi naczelny redaktor pisma, głowa i mózg całego aparatu redakcyjnego. Mylnem jest mniemanie, że on sam ma być naczelnym publicystą i pisarzem, zasypującym swój organ niezliczoną ilością artykułów. Przeciwnie—naczelny redaktor jest dyrygentem zespołu, sam zaś nie bierze w nim udziału. Nadaje on ton, rozdaje role, czuwa nad wykonaniem, jest łącznikiem między życiem a swoją redakcją i to już tyle pochłania mu czasu, iż do pracy pisarskiej własnej zabierać się nie powinien. Skoroby bowiem myślał o opracowywaniu tematów aktualnych, byłby tem tak pochłonięty, iż nie mógłby opanować całokształtu, nad którym pieczę mu powierzono.

Z tem wszystkiem związany jest ściśle zakres treści dziennika i jego podział. Schematyzowanie tych rzeczy, wobec ogromu materjału, byłoby niemożliwem, zasadą jednak stać się winno, by gazeta w formie jak najkrótszej dawała przegląd możliwie najbogatszy wszystkich dziedzin życia. Pismo o zabarwieniu tylko i wyłącznie politycznem jest jednostronne, boć przecie człowiek nie samą polityką tylko żyje, ani też polityka nie jest jedynym motorem całego świata. Potrzeby zaś wszystkich ludzi wychodzą bardzo często po za zakres indywidualny politycznych kierowników pisma. Przeładowanie więc dzienników artykułami politycznemi odbija się zgubnie na wykształceniu społeczeństwa, które wskutek tego popada w polityko-manję bezcelową, stającą się powodem rozprzężenia wewnętrznego w państwie. Zwłaszcza dziś, wobec „nowego człowieka" zająć trzeba stanowisko jaknajwiększej wszechstronności, aby mógł on poznawać coraz to nowe dziedziny wiedzy, aby jego horyzont był coraz to szerszy. Książka nie dla każdego jest dostępna, nie każdy wyciąga po nią rękę, nie każdy do jej zrozumienia jest przygotowany. Pismo codzienne musi ją zastąpić i to zastąpić tak, aby potrzeby życia i jego zagadnienia — znalazły bezpośrednią odpowiedź.

„Nowy człowiek" w ruchliwości swojej i pośpiechu żądać też będzie od pisma, by informowało ono szybko, bez zmuszania go do specjalnych poszukiwań danych kwestji na łamach wielkiej gazety. Tę „szybkość informacji" dać mu można przez umiejętną technikę, układającą cały materjał tematami tak, aby codzień ta sama rubryka w tem samem mniej więcej miejscu dziennika przypaść mogła. Nagłówki poszczególnych artykułów, na które baczniejszą zwrócić należy uwagę, powinny przypadać u góry kolumn, każda zaś kolumna stanowić całość. Metody te, stosowane w większych organach prasy francuskiej, zwłaszcza zaś angielskiej, przyjęte zostały przez ogół z wielkiem uznaniem. Ekonomja bowiem czasu przy czytaniu dzienników jest jedną z głównych zasad, stosowanych przez ludzi, którzy w prasie szakają ogólnego przeglądu codziennych wypadków.

Ale wszystko, cokolwiek możnaby powiedzieć o typie gazety, przeznaczonej dla „nowego człowieka", jest tak długo teorją, jak długo on sam nie dotknie własną ręką tego skomplikowanego aparatu. Przefasonowywanie starych form przez tych, którzy do nich przywykli, do wymagań całkiem nowego pokroju — jest eksperymentem, szukaniem dróg, dziennikarskim... futuryzmem. Dziennik naprawdę nowy powstanie dopiero wówczas, gdy i „homo novus" nasycony życiem, po zgłębieniu go dostatecznem, sam z siebie wytworzy gazetę własną. Może wobec niej, wszystko co dziś robimy będzie tak wyglądać, jak stare roczniki pierwszych czasopism wobec wielkich dzienników XX wieku?

Czekaliśmy na nowe formy życia — poczekamy jeszcze i na prasę, odpowiadającą tym nowym formom i ich wytwórcy: nowemu człowiekowi.



2) Mieczysław Jarosławski.

MAJOR PRUSKI.

(Dokończenie).

III.

Raz w raz terkoczą karabiny maszynowe zataczają coraz zwięźlejsze kolisko. Strumienie gorącego ołowiu przeszywają powietrze, napotykają ciała ludzkie i przelewając krew ciepłą, stygną. Przestrzeń nasycona grozą. Drzewa nie osłaniają, wzgórza nie ratują, męstwo nie przeciwstawia się. Śmierć ślepa szuka objawów życia i zgładza je.

Łoskot. Rozpęd szaleje, gniecie, zatacza pijane kręgi. Instynkty ludzkie panują ponad wszystkiem. Serce boi się tylko o śmierć własną. Blada dusza trwożliwie patrzy na wrota ujścia, ratunku. Rozum z pokornego sługi stał się kulą u nóg, pokonały go rozbestwione zmysły, ale on jeszcze się plącze, jeszcze dokucza radą, jeszcze próbuje się im przeciwstawić. Lęk śmierci potężniejszy—głuszy rozsądek, bo rozsądek mówi wolno, zwięźle, a instynkt czekać nie może. Zbudzony ponosi. W męcie boju i kurzawie dróg padają ciała ludzkie, krwawią, podnoszą się, głosy wołają o pomoc, o ratunek, przekleństwa zrywają się ze spieczonych warg, tarzając się po ścierniskach, po wypalonej zieleni traw. Roznosi je drgająca szałem powietrzna fala.

— Majorze, rozkazuję-ć zatrzymać odwrót!

— Kogo, kogo zatrzymać?! Tę waszą głupią bandę tchórzów! Gdzież wasza sławiona armja?!

— Tyś tchórz, boś stanął na czele ucieczki. Zawróć w bój! Inaczej kula w łeb!

Zaskoczone znienacka życie szuka chytrych dróg ratunku.

— Cofnąć się musimy, komisarzu, bo jesteśmy w rękach polskich. Teren dla nich dogodniejszy. Ggy się stąd wydostaniemy, wtedy...

— Milcz! Spełniaj rozkaz! Nie trzeba było leźć w tę matnię.

— Nie trzeba było dyszeć żądzą zdobyczy.

— Wyście parli ku Toruniowi!

— Wyście zażądali Warszawy!

Zboczem wzgórza spienione konie na karkach niosą armatę. Śmiga kańczuk mongoła. Błyszczą zęby. Plugawe lecą przekleństwa. Uszy lawirują lękliwym chwytem dźwięku w świście kul. Białka oczu zalewa krew. Niech trafi kula, a krew tryśnie jak wyzwolona ciecz z rozdętego balonu.

— Wydałeś, majorze, rozkaz zawrócenia artylerji?!

— Chcę ratować działa. Osłania je jeszcze konnica. Ujdą.

— Gdzie wróg? Gdzie oni, Polacy?

— Wszędzie...

— A przejście?

— Tamtędy, dokąd skierowana artylerja.

Skotłowały się zaprzęgi, jaszcze na jaszcze wpadły, gardła dział rozpruły ich brzuchy. Wnętrzności — szrapnele, granaty, amunicja sypią się wdół po zboczu ku strumieniowi. Piętrzą się konie. Żołdacy skaczą im do pienistych pysków, gryzą w karki, wyprzęgają i na zwolnionych pędzą ku wodzie, a potem wpław, przez rosę szuwarów, traw i kartoflisk mkną...

— Artylerja stracona. Wróg naciera od tamtej strony. Sak zamyka się.

— Gdzie ratunek?!

— Mój i twój, czy bolszewizmu?

Spinają się w strasznej nienawiści wzroki, śmierć krwawe wyprawia wokół harce, stanęła, mierzy...

— Zgubiłeś ideę naszą, prusaku!

— Złamałeś nasze nadzieje, komisarzu!

— Tryumf zachwiałeś!

— Zemstę położyłeś trupem!

— I ciebie położę!

— Sam legniesz!

Śmierć mierzy, śmieje się strasznie, hijenicznie zęby szczerzy. Lufa błyska, trzask, huk i major pruski spadł z konia. Porywa się spłoszone zwierzę, ale ręka śniada już chwyciła wędzidła. Komisarz wyskoczył z wózka, wyszarpnął obumarłe nogi dowódcy ze strzemion i sam wskoczył w siodło.

Pędzi. Włosy rozwiane, oczy roziskrzone, węszy proch, świstu słucha. Stanął. Zaryły się kopyta końskie w grunt, chwasty i złote powrósła oplątały drżące nogi. Rozdymają się chrapy. Latają dziko spłoszone oczy, serce bije stukotliwie, na ramieniu przysiadła dusza — w gwiazdę bolszewicką patrzy.

Zerwał ją komisarz. Ogląda się, szuka innych znaków. Zeskoczył z konia, pod gruszą dziką, krwawiąc pazury, dołek wykopał... Błysnęła garść brylantów—pochłonęła je ziemia. Obejrzał się

wkoło, zanotował miejsce w pamięci. Pędzi. Wiatr świszcze wkoło uszu. Huk zgęszczone fale powietrzne wzajem na siebia ciska. Het, krańcem lasu pędzą jeźdźcy... Ogień za nimi błyska. Spiął konia. Pomknął.

Słońce ścierń złoci, kurz prześwietla mgłą opałową. Nagrzewa się ziemia, dyszy. Rośnie nać kartoflana spokojnie. Tu skier dosypie złoty władca, tam upieści ciepłem, tam zajrzy, cień wypłoszy, owad rozbudzi. Za złotym pyłem pędzą muszki, pszczoły, migocą rozbarwione skrzydła motyli, znienacka konik polny zagra na grzbiecie, łątka szafirowa migotem błon przetnie horyzont, wodę rozpruje cieniem i zakołysze się na sitowiu. Roje niezliczone mrówek zapobiegliwie zdążają śród nieskończonych lasów-źdźbeł, dźwigają, budują kopce, tam ciągną zasztyletowaną ofiarę.

Po drogach uganiają się ułani, jeńców spędzają w gromady. Rozgwary słychać i krzyki. Huczą działa. Gdzieś daleko terkoczą sucho karabiny.

Słońce płynie ku południowi.

Rodzi lekko, śmiejąc się, ziemia. Konają na jej skrawkach... jej władcy. Krew wsiąka, źdźbła piją i rosną.

Życie i śmierć chodzą w przestrzeni, szukając się wzajemnie.

...Kuku, kuku... Siadł ptak na suchej gałęzi. Świsnęła zbłąkana kula. Zatrzepotały gwałtownie skrzydła bez równowagi i biją ostatnim wysiłkiem o mech podleśny.

Słońce spokojnie płynie i złotemi palcami krwi przelanej dotyka, a gdzie dotknie, krew krzepnie w rubiny.

...To dla ciebie—mówi do ziemi—uchodząc dalej.

IV.

— Gaza...

— Wata...

— Bandaż...

Lecą sekundy, minuty, barwa krwi plącze się z bielą opatrunku. Cisza wytężonej pracy. Czad potu, krwi i ponad wszystkiem świdrujący zapach jodyny.

— Kto następny?

— Jeniec. Ciężko ranny... Ale przytomny jeszcze, bardzo prosi, pan doktór będzie operować?

Oczy siostry miłosierdzia szklą się łzami, niepewność wiesza się ust chirurga.

— Proszę dać.

Myje ręce — to odpoczynek.

Położyli na stole ostrożnie, przygotowali narzędzia, pole operacyjne. Oczy jeńca szukają lekarza, w którego rękach spoczywa jego życie, zatrzymują się na białym fartuchu, czekają na twarz. Twarz powie wiele, wzrok zdradzi prawdę czy żyć jeszcze może, czy też...

Podszedł chirurg. Ogląda ranę. Ciężka. Potrzebna natychmiastowa operacja... ryzykowna...

— Proszę chloroform.

Bada serce. Kołacze silnie, w przyśpieszonem tempie, rwie się dźwięk, słychać szum.

— Silna skleroza...

— Wytrzyma?

Oczy siostry miłosierdzia znów wiszą u warg chirurga zalęknione, szeroko rozwarte.

A ranny słucha, nie rozumie. Ale nie trzeba mu tego, nie wysila się, by zrozumieć. Oczy rozwarły się szeroko, palce rąk drżą, zwierają się kurczowo, a usta wykrzywia straszny grymas, nie bólu, bo go nie czuje teraz, lecz czegoś, czegoś...

Ściągnęły się brwi do środka. Twarz cała blada, niby trupia, ale żyje przecież, bo płacze tym grymasem, lękiem i obłędną walką pomiędzy niezdecydowaniem a żywiołową chęcią życia. Cofnęło się coś w tem rozdartem życiu, waha się. Ból wahania ściąga mięśnie twarzy.

— Panie doktorze?... Wytrzyma?

— No, może...

Oczy lekarza spotkały się z trwogą we wzroku rannego.

Poruszyły się usta szeptem, jakby słowa zbierał w siebie, nie wyrzucał je.

— *Sie, sie, Doktor... Machen Sie mich nicht todt.*

Myśl wspominań przemknęła chmurą po twarzy chirurga.

Brzeg morski i grube, żelaznemi ćwiekami nabite buciska... Twarz bismarkowska... Uśmiech ironji zagościł na ustach. Ranny uśmiech schwycił i zdarł go trwogą okrzyku.

— *Nein, nein!*

Wielka odpowiedzialność siadła na czole chirurga.

— On sam nie wierzy? Panie doktorze, czy naprawdę tak źle?

Siostra miłosierdzia schwyciła za rękaw lekarza, błaga oczyma.

— Tak się męczył strasznie, tak strasznie... Przecież to już nie wróg.

Wielka odpowiedzialność źre czoło chirurga.

— A jeśli ręka Polaka zadrży właśnie dlatego, że wróg?...

Myślące oczy chodzą po białej ścianie chaty wiejskiej. Na okienku geranjum krwawą plamą marzy o słońcu.

Przed chatę zajechał samochód.

Ktoś do drzwi się dobija.

— Na miły Bóg, doktór jest?

Wyjrzał. Znajome, kochane twarze takie zrozpaczone.

— Panie doktorze! — obłapiają go za ramiona...

Coś czuje, pyta.

— Nasz kapral...

— Ranny...

— Jak?

— Ciężko, ledwie dyszy, błagał by do pana doktora... natychmiast, przywieźliśmy.

Zajrzał pod płótno. Tam spotkały go oczy ufne, oddane, szczęśliwe, że wreszcie mogą mu oddać życie swoje w opiekę.

Jakaś nerwowa gorączka opanowuje chirurga. Pomaga wynieść rannego sam ostrożnie, ostrożnie...

Już myje znów ręce.

— Prędzej, prędzej na stół...

Ktoś usunął jeńca...

Straszne zrozpaczone po nieznajomych twarzach błąkają się oczy jego...

Nie zgładził ich przecież, a jego życie ujść może, ujść i nigdy już nie powrócić tu po zemstę...

Nowy ranny na stole, ten ufny, kochany kapral-bohater.

Operacja.

Cisza niby w kościele.

Jeno słychać charkot uśpionego. Krew świeża pachnie. Szczękają narzędzia. Urywane, krótkie lecą słowa...

Geranjum kwiatem krwi dolewa własnej..

Dyszy izba wiejska gorącem dnia upalnego.

Siostry dech powstrzymują.

Lecą sekundy, minuty... Słońce zagląda do wnętrza... Życie waży się.

Skończony czyn ratunku.

Żyć będzie kapral-bohater.

Zsuwają go ze stołu na nosze. Śpi jeszcze, a gdy się obudzi, ufne oczy podziękują chirurgowi.

— A... tamten?

Siostra wyszła do drugiej izby, aby zobaczyć.

Chirurg ręce myje...

Uprzątają stół. Syczy maszynka, gotują się narzędzia. Czad krwi ciężko wypełza przez okienko.

W złotej ramie małej przestrzeni okiennej ukazuje się biała chusta.

Blade zaledwie poruszają się wargi.

— Panie doktorze, jemu już, zdaje się, niepotrzebna operacja...

Coś zastygło w powietrzu. Czy spojrzało na się zaskoczone sumienie? Lecz ręce umyte...

Mus żelazną dłoń na nerwach położył.

Ze ścian chaty wiejskiej schodzą obrońcy. Schodzą słowa protestu i wypędzają precz twarde jeszcze syczące tu echem: *ausrotten!*

Tak, tak, ktoś je nie dawno tu wymawiał.. Cicho słania się szept miłosiernej siostry.

— Kiedy go zabrano ze stołu dziwił się i oburzał, że dla prostego żołnierza usunięto jego sztabowego oficera.

— Tak, on ma rację, ich socjalizm jest sztucznie szczepiony, więc nie szkodliwy dla nich, junkrów, ale jakże niepodobny do prawdziwego, szczerego złota...





1) Xawery Glinka.

ŁUNA.

(Rozdział III-ci powieści, która pod powyższym tytułem ukaże się wkrótce na półkach księgarskich).

Generał Zajączkowski za niefortunną kampanję w Dobrudży otrzymał dymisję. Na jego miejsce wyznaczono młodego generała Sacharowa, który sciągnąwszy resztki rozbitej armji i przywróciwszy w szeregach jaki taki porządek — przeszedł do ofensywy.

Sacharow wydał rozkaz powtórnego sforsowania Dunaju, co zostało uskutecznione przy pomocy dwuch pontonowych mostów pod Isakczą, małą mieściną rumuńską, leżącą pomiędzy Tulczą i Galacem. Wojska rosyjskie posunęły się wszakże zaledwie czterdzieści kilometrów od Dunaju i zostały powstrzymane przez stanowczy opór nieprzyjaciela. Brak środków kominikacyjnych, niemożność szybkiego dowozu żywności i amunicji — nie pozwoliły rosjanom posunąć się dalej i pokonać, zresztą dosyć słabego nieprzyjaciela. Pozatem, o ile Sacharowowi udało się spoić czysto zewnętrznie, raczej mechanicznym sposobem rozproszone oddziały zdemoralizowanej odwrotem armji — to wewnętrznie armja pozostawała nadal niespojona, nieożywiona żadnym duchem ani porywem. Rezultatem tego było to, że po miesiącu anemicznej walki pozycyjnej staczanej na niewielkim skrawku północnej Dobrudży—rosjanie zostali ponownie wyparci za Dunaj — tym razem już ostatecznie.

Nadciągająca zima, zmuszała myśleć już tylko o tem, by utrzymać za wszelką cenę linję Dunaju, który był w tem miejscu naturalnym sprzymierzeńcem rosjan, ze względu na swą szerokość i przylegające doń błota i jeziora. Utrzymanie Dunaju nie było więc rzeczą trudną, zwłaszcza że nieprzyjaciel, dla braku kolei w Dobrudży, nie mógł przerzucić tu większych sił.

Sztab armji generała Sacharowa rozlokował się tedy na zimowe leże w mieście Bołgradzie, na froncie zaś zapanowała cisza i spokój, przerywany niekiedy pojedynkami baterji.

W tym to czasie Łoś leżał w szpitalu w Bołgradzie.

Owej pamiętnej nocy, gdy razem z Wicherkiem puścili się na niepewnem czółnie na wody Dunaju — wyratowali ich rybacy i nawpółżywych odstawili do Galacu. Wicherek, który czuł sią lepiej, odpocząwszy zaledwie trzy dni—powrócił z powrotem do pułku. Z Łosiem sprawa była trudniejsza.

Prócz przeziębienia, któremu uległ owej nocy, a które rozwinęło się u niego w ostre zapalenie płuc—dokuczały Łosiowi niemiłosiernie niezbyt stare rany w boku i w nodze. W stanie nieprzytomnym przewieziono go z Galacu do Bołgradu—gdzie w szpitalu przychodził powoli do siebie.

Okazało się, że szpitąl w którym znalazł się Łoś, był to ów właśnie 101-szy zapasowy szpital polowy, do którego kazała się zgłosić owa siostra miłosierdzia, co go podniosła z błota w straszną noc odwrotu z pod Konstancy.

Siostra owa, którą powszechnie w szpitalu zwano „siestriczką Katią„ — otaczała Łosia tkliwą, raczej macierzyńską opieką. Początkowo go nie poznała. Dopiero sam Łoś w chwili krótkiego ocknienia ze stanu gorączki—ujrzawszy pochyloną nad sobą, przesłodką twarz siostry, twarz która tak żywo tkwiła mu w pamięci — uśmiechnął się i powiedział:

— I znowu mnie pani ratuje od śmierci. Nie wiem, czym się będę mógł pani odwdzięczyć.

Siostra Katia popatrzyła uważnie.

— Jakto znowu?

— A tam, pod Hirszowo, gdy leżałem ranny w sciernisku. Oh, jakaż to była straszna noc...

— Aaa—prawda!—uśmiechnęła się słodko.

Trzy miesiące upłynęło dla Łosia zupełnie niepostrzeżenie. Na świecie był już marzec — i wiosenne, lepkie słońce coraz częściej poczęło zaglądać do okien szpitala, które teraz niemal codziennie, na kilka godzin otwierano.

Łosiowi, który czuł się dobrze, tylko był strasznie wyczerpany — zaczynało się przykrzyć w tej dusznej atmosferze szpitalnej, przesiąkniętej zapachami lekarstw, jękiem, kaszlem, smrodem i potem chorych.

Ubrany w szary, mięki szlafrok szpitalny—przesiadywał Łoś całemi godzinami przy oknie, wpatrując się w daleką perspektywę smutnego krajobrazu. Szpital stał na wzniesieniu i z okien widać było spadającą ku wodzie winnicę, dalej

jesioro Jałpuch, którego brzeg przeciwległy ginął gdzieś w błękitnem oddaleniu. Hen, hen, daleko rysowała się w zamglonem powietrzu delikatna falista linja gór. Ku tym odległym górom wybiegały oczy Łosia, szukające wypoczynku i ucieczki przed szarą powszednioścą szpitalnego otoczenia.

Te chwile spędzane przy oknie — były jedyną rozrywką.

W owym to czasie, doszły do zapomnianej gdzieś wśród stopów besarabskich mieściny — pierwsze wieści o dokonanym w Petersburgu przewrocie.

Początkowo po cichu, w wielkiej tajemnicy, ze strachem jakgdyby — powtarzano sobie na ucho doniosłe nowiny o wzięciu przez Kiereńskiego władzy w swe ręce, o detronizacji i akcie abdykacyjnym cara Mikołaja, o przejściu na stronę rewolucji Siemionowskiego pułku gwardyjskiego. Lecz gdy wiadomości te, podawane na początku przez pantoflową pocztę, znalazły oficjalne potwierdzenie w odpowiednich komunikatach i rozkazach urzędowych, w prasie, w opowieściach ludzi wiarogodnych świeżo przybyłych ze stolicy — opinja powszechna w wojsku i wśród ludności cywilnej, poczęła jawnie już przechylać się ku hasłom rewolucyjnym, które działały pobudzająco jak narkotyk — na umysły, przywykłe myśleć kategorjami niewolników i na dusze wychowane w negacji i bojaźni przed wolnością. Działała tu psychologja ślepców—którzy naraz przejrzeli.

Nie wszyscy jednak byli zachwyceni tem co się stało. Korpus oficerski, generalicja. starzy urzędnicy carscy — z pewnego rodzaju źle tajonym sceptycyzmem i rezerwą, z politowaniem i ironją — odzywali się o zataczającej coraz to szersze kręgi rewolucji.

Za ich to przyczyną głównie, dzięki ich nieprzejednanemu stanowisku opozycyjnemu — stwarzała się i rosła z niebywałą szybkością przepaść pomiędzy masą żołnierską a ogółem oficerów. Gdy jeszcze na samym początku, tak łatwo było przerzucić most porozumienia wzajemnego pomiędzy oficerem a żołnierzem, gdy przy pewnej dozie uspołecznienia w kadrach oficerskich, oficer jako jednostka bardziej uświadomiona i inteligentna mógł wziąć w ręce ster wypadków i poprowadzić masę w kierunku pożądanym, po drodze ewolucji—dzięki abstynencji i bierności oficerów, i w ogóle inteligencji rosyjskiej, a co gorzej dzięki jej przeciwstawianiu się ogólnemu prądowi wolnościowemu — ciemna i ogłupiała masa brała inicjatywę wypadków w swoje niedoświadczone ręce, zaś przepaść między ludem a inteligencją, pomiędzy żołnierzem a oficerem—stawała się nie do przebycia.

(Dok. nast.).

NA CZASIE

Polska idzie.

Burda w Sejmie.

Polska idzie wśród kociej muzyki, którą Jej wyprawiają tak zwani wybrańcy narodu...

Brzmi to conajmniej dziwnie i niezrozumiale jeżeli nie — haniebnie.

W Sejmie, który jest suwerennym, różni karjerowicze polityczni o aspiracjach międzynarodowych i żydowsko - bundystyczni „suwereni" urządzają takie hece, popełniają takie akty samowoli, gwałtu i nieprzyzwoitości, za które zwykły śmiertelnik zostałby albo doraźnie ukarany przez tłum, lub aresztowany przez stróżów porządku publicznego. Ponieważ jednak owi „suwereni" korzystają z prawa nietykalności, świadomi swego bezpieczeństwa, niektórzy z nich w zgranej i dobranej kompanji dopuszczają się wybryków, które ocierają się, niby żydowski parszywiec o płot, o granice kodeksu kryminalnego.

Smutnej pamięci pozostanie data 5 listopada r. b., gdy lewica urządziła kocią muzykę, wrzeszcząc, dmąc w piszczałki, bijąc pięściami i nogami po pulpitach, obrzucając obelgami marszałka Sejmu, zrywając się nawet do rękoczynu, siłą i gwałtem niedopuszczając do głosowania i t. d. i t. d.

W dniu tym w Sejmie również sponiewierany został mundur oficera i żołnierza polskiego. Bo rzecz nie do uwierzenia—jednym z przywódców tej ohydnej awantury był major wojsk polskich, który sam jak żak jaki świstał, ryczał, tupał i wymyślał najnieparlamentarniej, zapominając że nietylko godność posła piastuje lecz, że i mundur obrońcy Ojczyzny nosi na sobie a wtórował mu i pomagał podchorąży w. p.

Tym majorem, niestety, był—sam p. poseł Moraczewski, podchorążym — p. poseł Dreszer.

Panie majorze Moraczewski. Czyż nie widzisz różnicy między mundurem oficera polskiego a hałatem żydowskim? Jeżeli, naprawdę, nie umiesz go z godnością nosić — postaraj się by módz go zdjąć jaknajprędzej, bo nie pasuje on do twej osoby, razi na tobie i nie do twarzy ci w nim gdy takie awantury wyprawiasz.

A wszak pamiętaj, że mundur ten nosi cały korpus oficerski wojska polskiego, w którego składzie masz honor znajdować się i przebywać.

Za krzywdę wyrządzoną godności oficera zapłata ze strony kolegów jednego munduru bywa nader sprawiedliwa, gdy się stosuje: 1) opuszczanie natychmiast klubu, domu oficerskiego i każdego lokalu, do którego taki pan wejdzie, a jeżeli to z innych względów byłoby trudne (pora obiadowa i t. p.) to przynajmniej opuszczanie stołu, przy którym zechce usiąść, 2) nie bywanie w towarzystwie, gdzie takiego pana przyjmują i 3) nie podawanie takiemu panu ręki.

To zmusza w końcu infamisa do porobienia starań o udzielenie mu... bezterminowego urlopu z wojska z prawem chodzenia po cywilnemu, mundur zaś, powieszony już wówczas na kołku, znakomicie wietrzy się po tem wszystkiem czem przeszedł a zaleca się nawet posłać go do dezynfekcji.

Są poza tem jeszcze sądy oficerskie, drogi dyscyplinarne i t. p. środki. Dobrze jest o tem wiedzieć.

Niech nietylko p. major Moraczewski, lecz i podchorąży Dreszer o tem pamięta, bo choć nie jest jeszcze oficerem, jednak nosi już pełen chwały mundur żołnierski, którego nie wolno mu hańbić, jak to w Sejmie 5 b. m. uczynił.

Zapytujemy, jak zareagują na podobne, haniebne splamienie honoru żołnierskiego oddziały, do których p.p. Moraczewski i Dreszer są przydzieleni, bowiem oddziały te przedewszystkiem ponoszą za to moralną odpowiedzialność.

Przydziały tych panów ogólnie są znane a społeczeństwo pragnęłoby wiedzieć jak ostatecznie na to zareagowano.

Dziwne zaiste siły ma nasza Ojczyzna, że idzie naprzód z podniesionem czołem, gdy nietylko Trockij ze swemi hordami zajeżdżał Jej drogę i dziś agentami swymi ją tropi, gdy nietylko Niemiec czai się i do skoku zbiera, lecz i właśni wyrodni Jej synowie ciskają pod Jej stopy, potłuczone, ostre szkło z butelek od trucizny, których zawartość wypili z ich rąk ci wszyscy łatwowierni, którzy nie zdołali zauważyć na etykiecie trupiej główki i dwóch piszczeli na krzyż pod nią złożonych.

Oby apteki z takiemi medykamentami, jakie narodowi zaleca p. Moraczewski z towarzyszami, zechciały jaknajprędzej zastrajkować. Byłby to jeden jedyny upragniony i doprawdy pożądany strajk.

W. Z.

Camera lucida.

Kaiserliki, austrjaccy lokaje wprowadzili do sejmu Rzeczypospolitej obyczaje — parlamentu wiedeńskiego, ujeżdżalni Habsburgów. Zwyrodniała dynastja nie zeszła z padołu swego panowania cała: zeszła jak Almanzor z Alpuhary lub jak Konrad Wallenrod, wszczepiwszy jad w żyły swoich najwierniejszych poddanych. Zeszła jak Horacy z testamentem: „non omnis moriur".

Rzecz ciekawa. Nie miało się odruchu oburzenia przeciwko tym Moraczewskim, Klemensiewiczom czy Dreszerom. Przyzwyczaili oni już do tego, że nie można od nich wymagać czego innego, poprostu, że nie mogą być inni. Przechodzi się obok tego z odrazą, jak obok kupy śmieci i z żalem że zajęcia chwili nie pozwalają wywieźć tego cuchu za miasto na mierzwę.

I druga rzecz jasna. Nie uczestniczyli w tem obrzydłem widowisku prości chłopi, ludzie nie noszący kołnierzyka. Akcję wykonali tak zwani inteligenci, czyli ludzie mniej więcej z dyplomem uniwersyteckim, ludzie ubrani w żakiety i mundury wojskowe, czyli że bolszewizm ma pewną rację uczuciową; a bas la bourgeoisie."

Bo któż są rzeczeni zrywacze uchwał sejmowych jeżeli nie wykwint burżuazji austrjackiej? Okryci smutnemi laurami towarzysze parlamentarnych igrzysk habsbursko wiedeńskich? Czy to ludzie pracy fizycznej, amerykańscy ludzie samopomocy, z rodzaju tych, którzy z roznosicieli gazet urastają na prezydentów państwa? Czy dotknęli się sami musu fizycznego, realnej tresury i rzeczywistego ciężaru wysiłku codziennego, aby módz rozumieć psychikę człowieka pracy fizycznej i jego światopogląd? Jakież obyczaje tych panów kawiarnianych, wychowanych nie w dymie fabryk, ale w dymie knajp wśród nieskończonych obrzędów matactw i szwindelków politycznych? Burżuazyjne nawskroś i to bezładnie burżuazyjne. Jedyny łącznik pomiędzy nimi a światem pracy fizycznej to czerwony goździk u burżuazyjnego surduta podczas świąt agitacyjnych. Są to burżuje adwokaci sprawy robotniczej, hojnie opłacani honorami politycznemi i djetami, a racją bytu ich mizernego istnienia jest waśnienie stron, waśnienie bez końca, procesowanie we wszystkich instancjach, jakie daje się sofistycznie wymyśleć. Bluza robotnika, jego poważne spojrzenie, błysk jego oczów, często gorzki i z wyrzutem, jest dobitnym wyrazem człowieczeństwa; ma się poczucie wagi. Ale ten fircykowaty surdut, udający bluzę, to jest kostjum do teatru, nie na ulicę lub do instytucji obrad publicznych.

I w tej burdzie sejmowej rzeczywiście nie uczestniczyli ani poważni robotnicy, ani chłopi. Reżyserowali ją i wykonali burżuje „robiący" w socjalizmie i w ludzie jak w interesie paskarskim na świece, na mydło, na kiełbasę. Nawet figury fanatyczne, ślepe, ale szczere, marzyciele z ksiąg pielgrzymstwa, odwrócili od tego oczy i ręce.

Bo czy w tej chwili kryzysowej, gdy ważą się losy Śląska, to jest losy „proletarjatu" polskiego, uczciwy robotnik, rzeczywiście z potem i znojem zżyty, mógłby popełnić takie samobójstwo?

Czy mógłby mu pomagać do czynu samozniszczenia jego brat chłop z tej samej wioski, z której ów robotnik przed laty wywędrował?

Burżuazja kapitalistyczna osłabła, przeżyła się, wymaga koniecznie odnowy przez warstwy robotnicze trzymane dotąd w niewoli nadużyć kapitalistycznych. Ale ten prąd musi być wstępny, to jest iść od dołu do góry, a nie zstępnie, to jest z góry na dół, bo to będzie prąd występny Figury z odpadków burżuazyjnych, przyszywające się do bluzy robotniczej jako ornamenty intelektualne, mogą szerzyć jedynie nieporozumienia i maskować treść sporu. Najlepiej, gdy strony rozmawiają o interesach wprost z sobą bez faktorów, bo na zarobku z faktornego polegają te burdy. Żydki i część bużuazji przez nich zasymilowana nie łatwo wyrzekną się tego historycznego w Polsce dochodnego procederu. „Posady" ludowe i socjalistyczne są bardzo intratne i niepodobna się dziwić, że faktorzy bronią swego stanu posiadania szponem, dziobem i pięścią, jak to było w sejmie.

I. Gr.

Z Zachęty.

„POLSKIE MORZE". — (Wystawa prac Wł. Nałęcza).

Przyroda ojczystego kraju wcześniej czy później znajduje odbicie swe w sztuce narodowej, Stosunek jej do artystów jest oczywiście bardzo rozmaity: może ona przemawiać swym dramatyzmem, blaskiem, tajemnicami, tradycją historyczną czy też poprostu rodzimością — zawsze jednak czyn artystyczny, jakim jest transpozycja swojskiego pejzażu na strofę poematu, czy płótno obrazu, zasługuje na uznanie jako fakt kulturalnie dodatni, budzący estetyczne i narodowe uczucia. U nas przyroda dość późno weszła jako motyw do sztuki: po Mazowszu i Podolu przyszła kolej na Litwę, stosunkowo niedawno — na Tatry, a dopiero teraz — na Bałtyk, ten, do którego popychało nas przeznaczenie, „płuca Polski", organ kontaktu z bogactwami i urokami całej kuli ziemskiej. Różne przyczyny na to się złożyły, ale bądź co bądź, jest smutną rzeczą, iż tak mało studjowano morze, ów cudny żywioł, który jak żaden inny, uczy tęsknoty i wytrwałości. Ze starszych malarzy można wymienić Gierymskiego, z młodszych zasługuje na wymienienie Ślewiński, Okuń, Wygrzywalski, Marczewski, Gawiński, z najmłodszych — Chorembalski.

Atoli jednym z najsumienniejszych odtwórców morza u nas jest dotychczas Wł. Nałęcz, artysta i podróżnik, który studjował i fjordy norweskie i polarne zachody na wyspach Lofoden — na krańcu Europy, i „lochy" szkockie i jeszcze długo przed wojną — nasze kaszubskie brzegi Bałtyku, bogacąc wystawy świeżemi motywami i ucząc zainteresowania się morzem.

Dobrze też się stało, że znów wystąpił w Warszawie z wystawą prac swoich, odtwarzając w szeregu niewielkich przeważnie studjów urok letnich godzin nad Bałtykiem, ich mgły i bezkres, natężenie światła i grę fal, ukazując oczom widza, i wody, i kolory, i boty, i rybaków, i wybrzeża, i parowce. Te drobiazgi, soczyste w tonie, traktowane z werwą i odczuciem, posiadają wartość malarską. Wzrok chętnie zatrzymuje się na sinych oddalach widnokręgów, na piaskach, grających w słońcu, na ciężkich rozchwiejach fal po godzinach wiatru, na łodziach rybackich o barwnych żaglach, a uczucie znajduje łatwe porozumienie z pejzażem, odtąd dla nas rodzimym. Mniej szczęśliwe są wielkie płótna — zarówno ludzie niewymodelowani, jak i kadłuby parowców traktowane twardo, po macoszemu.

Z bardzo udatnych natomiast wyróżnimy: „Sezon na węgorze", „Kuter", „Dzień roboczy rybacki", „Żniwa nad morzem", „Brzeg w Rozewiu" i parę zachodów słońca. Czuć w nich żywioł, czuć barwy i rozlewność wody. Odchodzi się z wrażeniem jakiejś świeżości — echa morskie zdają się skądś dolatywać — obcowało się przez chwilę z Przyrodą — a to w malarstwie krajobrazowem rzecz bodaj najważniejsza.

L. Konopacki.

OD ADMINISTRACJI.

Uprasza się Sz. Prenumeratorów, którzy nie uiścili jeszcze reszty należności za rok bieżący, o wyrównanie rachunku, co da prawo narówni z innymi prenumeratorami „PLACÓWKI" do odbioru **„ALBUMU MUNDURÓW"**, przeznaczonego jako premjum bezpłatne na rok 1920.

Treść zeszytu XX-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwartalnie **Mk. 110.—** Za granicą i w Ameryce: Kwartalnie **Mk. 150.—**
Za przesyłkę pocztową dolicza się kwartalnie: w kraju **Mk. 15.—**, za granicą i w Ameryce **Mk. 25.—**.



Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.
TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „Placówka": **Walenty Zieliński.**
Komitet redakcyjny: **Ignacy Grabowski, Tadeusz Karaziński, Gustaw Olechowski, Stanisław Pieńkowski.**

Odbito czcionkami „Drukarni Rotacyjnej", Marszałkowska 148.